

Franciszek Piątkowski
Po premierze
Piekielna przewrotność

NAJNOWSZA premiera „Teatru z Lublina” rozpoczęła się od obwieszczenia, że przedstawienie trwa dwie i pół godziny, i że będzie przerwa. Masz ci: publiczność zebrała się raczej alternatywna, teatr też można by o to posądzać, a tu kanon. Jak w teatrze repertuarowym. I co więcej: całe przedstawienie „idzie” jak Bóg przekazywał, tyle że tchnie radosną świeżością rozstrzygnięć inscenizacyjnych, do których dostroili się aktorzy.

1.

Po tym wstępie - będzie drugi wstęp. Tym razem filologiczny, bo przedstawienie oparte jest na powieści Flanna O'Briena, autora w Polsce znanego za mało, a przy tym tworzącego na tajemniczej wyspie. Irlandia jest taką wyspą. Pisze B. O'Donoghue w eseju pod tytułem „Humor i logika słów w tradycji irlandzkiej”: *„Wydaje się, że z całej historii irlandzkiej literatury komicznej i popularnego humoru irlandzkiego przebija ogólne dziedzictwo logiki, przefiltrowanej przez filozofię katolicką.(...) Odkąd tylko powstała nieśmiała wizja Irlandii jako Wyspy Świętych i Uczonych, w definicji kultury irlandzkiej zawiera się pedantyczna erudycja, która, nawet jeśli parodiuje samą siebie, odznacza się przede wszystkim zamiłowaniem do elegancji logicznej, detalu i precyzji”*.

Nie będziemy tu się wdawać w dywagacje o humorze takich Irlandczyków jak Joyce czy Beckett. Pyszny jest on, aż do bólu.

„Właśnie ukończyłem książkę - pisze O'Brien w liście do W. Saroyana. - Jedyną jej zaletą jest fabuła i rozważyłem czy nie przerobić jej na zwariowaną sztukę. Kiedy dociera się do końca, okazuje się, że mój bohater czy też główna postać (a jest to nicpoń i zabójca) od początku nie żyje, i że niezwykle okropności, których doświadcza, dzieją się w jakimś piekle, na które sobie zasłużył popełniając morderstwo”.

2.

Zrobić „zwariowaną sztukę” z bohaterem, który „od początku nie żyje”, a do tego umieścić akcję scenicznych zdarzeń „w jakimś piekle” i nie zatracić paradoksalnego, czasem wisielczego, a najczęściej perfekcyjnie wysublimowanego humoru O'Briena - to wielka sztuka. No, ale „żeby udać, trzeba sztuki”, powiedział hrabia Aleksander Fredro.

Twórcom i odtwórcom „Trzeciego policjanta” sztuka się udała. Piekło w ich przedstawieniu jest banalne jak prowincjonalny posterunek policyjny, a funkcjonariusze tego piekła - sierżant Pluck i sierżant Mac Cruiskeen - mają swoje fiksum-dyrdum. Jeden wszystko sprowadza do rowera i bredzi o atomowej wymianie atomów pomiędzy rowerami i ich posiadaczami. Dlatego zrozumiałym się staje, że w „tej parafii” powieszono rower, a nie przestępcę. Drugi sierżant zajmuje się maglowaniem światła. Ot, taki bzik tropikalny, jakby powiedział Witkacy. Bohater, który trafił na taki posterunek i zgłasza kradzież zegarka (którego nie miał) - dziwi się absurdom i sam staje się absurdalny. Piekielnie absurdalny, bo

przecież to nie jemu ukradli zegarek, ale to on zbił razem ze swoim przyjacielem Johnem Divneyem starego Mathersa. I do kwadratu jest piekielnie absurdalny, bo przecież nie żyje od czasu, kiedy z domu starego Mathersa zabierał szkatułkę z kosztownościami, tyle że jego przyjaciel - w miejsce szkatułki - podłożył minę.

3.

Jeżeli ramą przedstawienia jest jego konstrukcja, to ta wymyślona i zastosowana w „Trzecim policjancie” jest rewelacyjnie lekka, chciałoby się powiedzieć - pastelowa. Arcyprostymi też środkami uzyskują twórcy przedstawienia pożądaną akurat przestrzeń: policyjnego posterunku, piekielnego labiryntu, piekielnych zaświatów, drogi do domu, domu Mathersa...

Jeżeli proza O'Briena na scenę przeniesiona domaga się nieustannych, migotliwych wręcz zmian sytuacji, w jakich działają postacie (teraz już dramatu), to reżyserska dwójka przedstawienia - Ela Bojanowska i Witold Giermakowski -zdaje się mówić „nie ma sprawy”.

Jeżeli trzeba tak grać, żeby rzecz była śmieszna dla widza - a nie dla aktora, który „zagrywa się w śmiechu” i sprawia, że przedstawienie staje się nieznośnie pretensjonalne – to trzeba tak grać, jak w „Trzecim policjancie”: serio i tylko serio „grać swoje”. Najbardziej celuje w tym Sławek Skop w roli sierżanta Plucka i obdarzony świetnymi warunkami Robert Maj w roli sierżanta Mac Cruiskeena. Dodajmy do tego starannie wystudiowaną niepewność gestu Eli Bojanowskiej w roli Narratora i perfekcyjną świadomość intonacji słowa, kiedy mówi z taśmy, jako Joe.

Muzyka Krzysztofa Głębockiego, te delikatne klimaty i ziarnista - chciałoby się powiedzieć - faktura dźwiękowego tła. Brawo. Wszyscy brawo: Sławomir Płecha jako Bohater, Krzysztof Głębocki jako Mathers, Rafał Rosłoń jako Gilhaney i Jarosław Gawlik jako John Divney.

Mamy przedstawienie niebanalne, świeże, myślące i zabawne zarazem. Teraz wystarczy przykrócić je trochę w partiach początkowych i albo uwyraźnić założenie, że to jest przedstawienie i próba zarazem, albo dotąd szlifować, aż stanie się błyskotliwe i wyrównane w swoich rytmach, jak świetnie skomponowana suita.

Pierwodruk: Dziennik Wschodni, 30 I 1998